Czy ktoś zamawiał chaos? Południowe Indie przywitały nas większą dawką tego co wszyscy znaliśmy: ciepłem, utrudniającą oddychanie wilgotnością , smrodem i tłumem ludzi produkującym tak nieziemski rwetes, że jasna cholera. W kwestii indyjskiego pojmowania takich pojęć jak „ład" i „porządek" powiedziano już wszystko i uzgodniono tylko jeden wniosek że, jest to temat sporny i dyskusyjny. Prawda, wszystko zależy od punktu widzenia.

Stąd niewiele rzeczy ma sens.

Na parkingu, u stóp gmachu okraszonego podniszczonym szyldem ?Chennai Railway Station? wyposażono nas w autokar (tak, to nie jest miano na wyrost) którego luksus sprawiał, że czułem się winny siedząc weń w przepoconym podkoszulku i nie najświeższej bieliźnie. Powinienem wszak być wbity w garnitur. Z siłą wodospadu i prędkością błyskawicy nasza świeżo upieczona limuzyna zaniosła nas prosto na wyłożony marmurem i porośnięty latoroślą dziedziniec Bazyliki Świętego Tomasza Apostoła, który zatraciwszy nieco poczucie przestrzeni zapędził się był ze słowem bożym aż nad Ocean Indyjski, gdzie dokonał żywota.

Tomasz leżał spokojnie jak na trupa przystało, relikwia ? zwyczajem relikwii ? emanowała niewytłumaczalną energią, a kaplica jak każda porządna kaplica, była cicha i refleksyjna.

Potem był jeszcze tylko szparki bieg wokół robiącej solidne wrażenie świątyni Kapaleeshwarar . Myślę, że zdjęcie jest warte tysiąc słów, niech każdy więc obejrzy ją sobie na fotografiach, a po więcej informacji ? googluj kto ciekawy.

Zmęczone i spragnione zimnego prysznica nasze młode ciała wywieziono w miejsce, gdzie powiało grozą. Z niewielkich odległości mogliśmy zajrzeć w solidnie uzębione paszcze krokodyli leniwie wylegujących się w zielonych zbiornikach. Przed bramą hodowli długich, żywych maszynek do siekania okrążyły nas uliczne dzieciaki wyciągając dłonie po bakszysz nie dając nam odjechać.

„Jak w Chorwacji, jesteśmy w Dubrowniku" – mówiłem przemierzając powoli tonące w słońcu uliczki Mamallapuram, w którym przypadły nam trzy noclegi. Schludność tego miejsca sprawiała, że na chwilę poczuliśmy się jak na regularnych wakacjach. Hotel był porządny – pomimo braku dostaw prądu, jedzenie pyszne, a plaża w zasięgu wzroku.

Następny dzień zarezerwowany był dla byłej francuskiej kolonii jaką jest Pondicherry. Smakując słodkich chrupiących bagietek poczuliśmy się niemal jak na paryskich przedmieściach. Dziwnie było zobaczyć flagę unoszącą się na wietrze bez koła dharmy. Owoce z przybrzeżnych straganików zaspokoiły pragnienie. Po kolejnej przejażdżce autobusem zaopatrzonym w przesuwane szyby trafiamy gdzie wstępujemy w progi Auroville (Miasto Świtu), które zachwyca nas swoją ideą i harmonią o którą tak ciężko tutaj w Indiach. Osada, która miała cieszyć się wielkim zainteresowaniem liczy niewiele ponad 1500 osób, z czego większość to ludzie o jasnej karnacji. Mieszkańcy cenią sobie ekologię i ciężką prace, wyzwolenie mentalne od tego, co czeka ich na każdym kroku w wielkim mieście. W centrum umiejscowiona została ogromna świątynia o kształcie złotej kuli, umożliwiająca skupienie, niezależnie od wyznawanej religii. Żeby zostać mieszkańcem tej utopii trzeba spełnić szereg wymagań. My jednak ruszamy dalej w kierunku Tiruvannamalai.

Na kolejnym przystanku naszej podróży znów porzucamy buty i dopada nas drapiący nozdrza zapach kadzideł i pomarańczowych plecionych na ulicach wianków. Hinduistyczna świątynia Arunachaleswar po same brzegi wypełniona jest zarówno mistycyzmem, który wciąga każdą cząsteczkę, jak i ludźmi chcącymi złożyć hołd Śiwie. Małpy, palące się w ciemności świece, bębny, kolory czerwieni i bieli mieniące się na czole świętujących tu ludzi. I my otrzymaliśmy błogosławieństwo, tikka na czole pewnie na niejednym z nas odbiła swoje radosne piętno. Na wypielęgnowanych przez kamień stopach znów spoczęły buty.

Po kolejnym noclegu w naszym nadmorskim hoteliku wypożyczamy rowery i przypiekani słońcem pedałujemy kilka kilometrów do lokalnych świątyń Mahabalipuram. Spinamy nasze niezwykle nowoczesne wehikuły i wchodzimy na płaski, piaszczysty teren, na którym położone są Pandź Pandawa Rathas, pięć rydwanów Pandawów, które zostały wykute w skale na cześć członków tej południowo Indyjskiej dynastii. Po krótkim wykładzie każdy gna w swoją stronę, by uchwycić najlepsze ujęcia. Zabytki okazują się niezwykle fotogeniczne, więc robimy też zdjęcia z gadżetami od sponsorów. Parę minut później już parkujemy jednoślady i odganiając się od hinduskich sprzedawców kupujemy bilety do Świątyni Nadbrzeżnej, która położona jest zaraz przy plaży sąsiadującej z Zatoką Bengalską. Sama budowla okazuje się być trzema kapliczkami nakrytymi dwoma wieżami. Otoczona murkiem, w którym widnieją mityczne stwory, zdaje się idealnie komponować w krajobraz tego miejsca. Następnym przystankiem jest największy skalny relief świata ? Pokuta Ardźuny. Obrazuje on cierpiącego Ardźunę – jednego z pięciu braci-herosów, o których mowa w jednym z najważniejszych dzieł w Indyjskiej literaturze, Mahabaharacie – otoczonego przez mityczne nimfy, lwy, słonie, małpy oraz przez samego Śiwę. Płaskorzeźba, często nazywana ?zejściem Gangesu na ziemię? ożywa w porze deszczowej, kiedy to szeroką szczeliną, symbolizującą Gangę właśnie, spływają hektolitry wody. Tym razem już na piechotę odwiedzamy jeszcze kilka rzeźbionych jaskiń i wspinamy się w pocie czoła na najwyższą z tutejszych skał, by podziwiać morze zieleni i błękit oceanu. Gdy bliskość słońca daje nam się we znaki, schodzimy nieco niżej. Z zaskoczeniem stwierdzamy, że stojący nad skarpą olbrzymi głaz, jakim jest Krishna’s Butter Ball, rzeczywiście nie jest niczym podtrzymywany. Kilka fotek dla potomnych, szefowska digital camera obserwuje każdy nasz ruch. Odczuwając już spieczone ramiona i nogi z ulgą przykładamy zimne butelki wody do czoła. Chwila zabawy z dziećmi, rozdawanie cukierków i balonów, i wracamy na naszych maszynach do hotelu.